ERA WODNIKA

ALEKSANDER SOWA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji kliknij tutaj.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji. Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z regulaminem serwisu.

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym Księgarnia Internetowa E-ksiazka24.pl.

© Copyright by Aleksander Sowa &

Projekt okładki: Aleksander Sowa
ISBN 978-83-62480-40-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

ERA WODNIKA

Aleksander Sowa

1.

Mówią, że śmierć przychodzi nieoczekiwanie. O tak. Tym razem tak właśnie było. Przyszła co prawda nieunikniona, ale na pewno niespodziewanie.

Bezdomny w pijackim amoku otworzył usta. Chciał przywołać kompana. Zamiast słów zniecierpliwienia wydał z siebie jednak niezrozumiały bełkot. Skąd mógł wiedzieć, że i tak zupełnie niepotrzebnie? Martwi przecież, nas, żywych nie są w stanie usłyszeć. Wprawdzie w sensie fizjologicznym nie był martwy. Ale trupem był właściwie już od dobrych kilku minut. Z tą różnicą, że serce kloszarda wciąż biło. Jeszcze przez kilka sekund.

Od bezdomnego, mimo chłodu ze swojej natury maskującego wszelkie zapachy, bił nieznośny fetor. Ktokolwiek znalazłby się obok, poczułby smród. Cuchnący melanż kału, moczu, najpodlejszego sortu alkoholu zmiksowany ze smrodem zapalonych po raz kolejny niedopałków. Bezdomnemu to najwyraźniej jednak nie przeszkadzało. Składało się na to kilka przyczyn. Przez lata życia na ulicy przyzwyczaił do permanentnego braku higieny.

Drugi powód był znacznie mniej prozaiczny. Ten człowiek umierał. Nie wiedział tego. Nie był świadomy stanu, w jakim się znalazł. Ale fakty pozostawały nieubłagane. Ogień życia migotał już i nie było najmniejszych szans, że jeszcze zapłonie jasnym ogniem. Smród rozlanej na powierzchni morza ropy, śmiesznie mało przeszkadza kapitanowi idącego na dno tankowca.

Zirytowany nieobecnością swojego cuchnącego identycznie jak on sam towarzysza, mężczyzna postanowił ruszyć. Pijany podniósł się z połamanej, brudnej wersalki. Tylko niezwykle szczęśliwe zrządzenie losu sprawiło, że nie zranił sobie przy tym dłoni o wystające z materaca sprężyny. Zamiast kroku w przód, opadł bezsilny na zdezelowany mebel. Tak zakończyła ta się ekspedycja. Chwilę potem, bezwładne ciało wygiął nagły spazm. Skurczony z głodu i wlewania weń alkoholu żołądek, podniósł się. Z gardła wydobył się charkot. Niczym rezonans uwięzłych w krtani ciem, szerszeni i nieustannie latających pszczół.

Trwało to krótko. Ot, taka, mniej więcej dziesięciosekundowa agonia. Potem głos z czeluści robaczywego ciała ucichł. W szalecie nastała głucha, zimna cisza.

Nieruchome ciało przypominało manekina. Jak z witryn butików, ale z kończynami wykręconymi tajemniczą siłą w nienaturalnej pozie.

Tymczasem, gdzieś dalej w szalecie na pozór identyczny jak ofiara konwulsji, drugi człowiek w łachmanach wciąż nie wracał. Też bowiem spotkał swój koniec. I to zupełnie według innego, o wiele bardziej przerażającego i makabrycznego scenariusza.

Brudne i ciemne wnętrze nieczynnego szaletu po kilku minutach wypełnił zapach świeżej śmierci. Nim trupia woń dotarła do najdalszych zakątków tej mrocznej budowli, pojawił się ktoś trzeci.

2.

Siedział w ciemnym wnętrzu Volkswagena Transportera w bezruchu. Był klasycznym przykładem mężczyzny absolutnie szarego, jakich wielu spotykamy na ulicach, co dzień. W pośpiechu, nie zdając sobie nawet sprawy z ich istnienia, ocieramy się o nich. Mijamy nieświadomi. W drodze do pracy, szkoły, czy innych, własnych spraw. Nie zauważamy ich egzystencji, jakby żyli na poziomie mchów czy porostów. A kiedy zupełnie niechcący, nie specjalnie – ale, przez przypadek – trącimy ramieniem czy łokciem kogoś takiego, nawet tego nie zauważamy. Nie zauważamy nawet, gdy krzyczą do nas, że przecież można by, chociaż przeprosić. Nagle okazuje się, że oto jest ktoś, dla kogo nie umiemy znaleźć więcej niż jednego przymiotnika. Jest on po prostu zwykły.

Emil taki właśnie był. Zwykły. I to tak nieskończenie zwykły, że najwłaściwszym kolorem określającym tego człowieka, była oczywiście szarość.

Gdziekolwiek się pojawiał, rozmywał się w tle jak kameleon na liściu filodendrona. Nic dziwnego, że nawet dla tych, którzy się z nim stykali codziennie zastanowienia wymagała odpowiedź na pytanie – czy już dzisiaj się z Emilem widzieli. Istotnie, niezwykle trudno było opisać jego wygląd z pamięci. I tak było od zawsze. Nawet w dzieciństwie.

Miał dwóch braci. Nie był z nich ani najstarszy, ani najmłodszy. Był średni wiekiem. Pośrodku wzrostem. Nie najwyższy i najniższy. I już wtedy, kiedy miał dopiero kilka lat, niemal zawsze, matka kończąc ich dziecięcą zabawę w roztargnieniu pytała:

– A Emil gdzie? – On zaś odpowiadał nie bez wyrzutu:

– Tutaj, mamo! Tutaj!

Potem, już przyzwyczajony, że czasem nawet własna matka go nie zauważa, mówił tylko:

– Tutaj! – dodając natychmiast: – Mamo! Znów mnie nie widzisz!

W szkole nie było z nim większych problemów. Dostawał tróje i czwórki. Nie przynosił na świadectwach ocen niedostatecznych. Nie przyniósł też nigdy żadnej piątki, za wyjątkiem wychowania fizycznego. Z wiekiem nic się nie zmieniało, może poza tym, że praca stała się lekcjami wuefu. A on po prostu był sobą i wydawało się, że mógłby zniknąć. Nawet wtedy, z całą pewnością nikt by tego nie zauważył.

Sama w sobie hiperbolizacja szarości oczywiście nie mogła prowadzić do zniknięcia i fizycznego braku istnienia. Mimo to, wciąż stanowiła zagadkę, czy tak się przypadkiem akurat dzisiaj nie stało, a my jeszcze nic o tym nie wiemy. Wbrew ciągłej presji całego świata spychającej Emila do nieprzebranej otchłani szarzyzny, on wciąż mimo wszystko trwał przez lata w swym udręczonym kolorze. Z czasem, stał się on też jego najważniejszą zaletą. A kto wie, czy również nie był jego najgroźniejszą bronią? W każdym razie pozwalał przetrwać.

Dzięki swojej niepozorności, niewątpliwie byłby doskonałym przestępcą. Mógłby w samo południe z nożem w dłoni wejść do oddziału największego banku w centrum miasta i zrabować okrągłą sumkę. Po czym z pewnością mógłby wyjść z łupem i zupełnie nikt nie potrafiłby podać rysopisu. On jednak, zamiast skutecznie i z finezją rabować banki pojawiał się na różnych poziomach piekła, o których pisał niegdyś Dante. Zatem bywał w biurach, sekretariatach, gabinetach oraz innych tego typu miejscach. Lekarze, księża, sekretarki, prezesi, adwokaci, naczelnicy, właściciele, kierownicy, dyrektorzy i szefowie automatycznie sami sprowadzali się do wspólnego mianownika ze sprzątaczkami, fryzjerkami, ekspedientkami i nocnymi stróżami, kompletnie nie zwracając na niego uwagi.

Życie Emila było takie samo jak cały on. Przyzwyczaił się. Próbował jako dziecko jeszcze z tym jakoś walczyć, chcąc zostać kimś. Szybko zrozumiał, że nie ma szans. Skoro więc los chciał aby był nikim, nie mógł się tym planom sprzeciwiać. I tak przecież wszelkie wysiłki, by choćby trochę rozjaśnić swoją życiową szarzyznę, skazane były przecież na przegraną.

Już jako młodzieniec poddał się losowi. I zrobił to bez reszty. Nie przeszkadzał przeznaczeniu, pogodzony z losem. Była to najmądrzejsza decyzja życia. Postanowił swój niezwykły koloryt wykorzystać. Byłby wspaniałym kieszonkowcem, cinkciarzem, oszustem czy włamywaczem, ale nie został żadnym z nich. Został gliną. I niespodziewanie życie nabrało barw. Choć oczywiście z szarego nie mogło stać się nagle różowe, to jednak szarość nie była już jak pleśń na kromce chleba. Przypominała bardziej barwę sierści psa. Groźnego, złego psa, który niedostrzeżony mógł poszarpać ostrymi zębami bardzo, bardzo boleśnie. Jeśli tylko zechciał.

Tej nocy wciąż siedział w samochodzie w kurtce, mimo że ogrzał się już wystarczająco. Ciepło jednak tak rozleniwiło, że nie chciał zdjąć służbowego łacha. Tkwił na przednim siedzeniu radiowozu, bezczynnie patrząc na Plac Daszyńskiego przez szybę. Kilka małych kropel deszczu pokryło jej gładką powierzchnię. Ich ruchy synchronizowały się z podmuchami silnego wiatru.

Nagle zza kropel dostrzegł idącego w jego kierunku człowieka. Postać była niska, krępa i nieco przygarbiona z głową okrytą kapturem. Nieznajomy szedł szybkim krokiem, zapewne zziębnięty.

Plac był doskonałym miejscem, aby przyjść tu wczesną wiosną karmić gołębie o poranku. Albo wieczorem, późnym latem całować i pieścić się w ciemnościach. Jak gimnazjaliści – rozmyślał melancholijnie i romantycznie marząc, a może też po trosze wspominając. Jako jedyny w mieście, plac ten miał oprócz urzędowej nazwy, jeszcze kilka innych – myślał w ciszy. Tymczasem stwierdził, że w jego kierunku idzie kobieta. Właśnie znalazła się kilka kroków od samochodu i latarnia rzuciła rozproszone deszczem światło na jej twarz. Nie dostrzegł jednak ani jednego szczegółu.

Plac nazywany był po wojnie Placem Thälmanna. Albo, co zastanawiające, choć tylko dla obcych w mieście – Placem Pedała. Tu spotykali się wszyscy. Ochrzczono go jednak głównie z powodu ciągle przesiadujących tu przede wszystkim bezdomnych, pijaków i dziwek najpodlejszego sortu.

Nieznajoma podniosła głowę i ich spojrzenia w mroku zetknęły się na ułamek sekundy. Minęła samochód. Policjant powiódł za nią wzrokiem, by stracić ją z oczu za stojącą w centrum placu przedziwną fontanną. Był to postawiony przed Pierwszą Wojną Światową kamienny pomnik złożony z figur naturalnej wielkości ludzkich postaci. Na cokole stała bogini Ceres, górującą nad dwoma rybakami z siecią, górnikiem z kilofem, kobietą ze snopami zboża i koszem pełnym owoców.

Glina nie dostrzegł koloru oczu nieznajomej. Była za daleko. Nie widział nawet twarzy. Dostrzegł jedynie zarys zgrabnej sylwetki. Zdało się, że widzi chwilę przelotne, jakby wrogie spojrzenie. Nic dziwnego, nikt nie lubił tego, kim był. Cóż, zostać gliną jest jak bycie dziwką – to nie zawód, to filozofia życia.

Co może tutaj robić samotna kobieta o tej porze? – zastanawiał się z nudów. Wracała z nocnej zmiany? Zaczynała za kilka minut pracę gdzieś w sklepie, piekarni, szpitalu? – myślał. Może była kurwą? To przecież bardzo dobra godzina dla kurwy. A w noc taką jak dziś może wydarzyć się wszystko – mruknął do siebie.

– Komisarzu Stompor, zgłoście się! – suchy trzask w radiotelefonie nagle przerwał rozmyślania.

– Jestem! – posłusznie odpowiedział, chwytając mikrofon.

– Za pięć minut będziemy u ciebie. Jak to wygląda?

– To trzeba zobaczyć – odrzekł zgodnie prawdą.

– Miejmy nadzieję, że warto było się zrywać z łóżka. Bez odbioru.

– Zrozumiałem! Bez odbioru – odpowiedział służbowo i bez cienia emocji.

Niemal równocześnie otworzył drzwi radiowozu. Znalazłszy się na zewnątrz splunął gęstą śliną. Wiedział, że zachował się jak pies. Jakby pan wydał komendę „waruj". Wykonał ją bez cienia namysłu. Wiedział też jednocześnie, że to właśnie było jego powołanie. To był sens jego życia, przeznaczenie i fatum czy chciał, czy nie. Los nie pozostawił wyboru. Czasem musiał aportować, ale mógł dzięki temu biegać bez łańcucha.

Panował przenikliwy chłód i powietrze było niemal namacalnie ciężkie od przenikającej na wskroś wilgoci. Listopad tego roku był cały jak z najgorszych snów. Pogoda zaprzysięgła się przeciwko ludziom. Prawdę mówiąc, temperatury wskazywane na słupku rtęci nie zapowiadały całej prawdy. Mżawki na zmianę z porywistym wiatrem powodowały, że uczucie zimna dotykało niemal gołej kości. Nie znosił tej pory roku. Była chyba dobra tylko dla samobójców – myślał, co zresztą sprawdzało się w raportach. Choć z drugiej strony w jego czworonożnej profesji najważniejszym zmysłem bez cienia wątpliwości był nos. A jesień to najlepsza pora, by móc skutecznie węszyć.

Był dobrym gliną. Nawet bardzo dobrym. Co znaczy, że musiał przestać być w pewnym sensie człowiekiem. I choć praca w pionie kryminalnym była jedną z najbardziej podłych i niewdzięcznych w całej fabryce, ją właśnie lubił najbardziej. Niemal nigdy nie tracił gruntu pod stopami. Nie gubił tropu, jeśli raz już go podjął. Był bardzo skuteczny, a mimo tego nie awansował. Być może wpływ na to miała niewidzialność. Doprawdy możliwe. Bardziej prawdopodobne jednak, że powodem był brak jakikolwiek układów. Nie nawiązywał bliższych znajomości. Był odludkiem. Typem samotnika, który nie miewa przyjaciół. Samotny, sfrustrowany i zgorzkniały. Nie był już też najmłodszy i czuł, że prawie całe życie przeciekło mu między palcami.

W chwilę po tym, jak wyskoczył z wozu, ze stojących obok dwóch niebieskich Polonezów wysiadło czterech innych policjantów. Łypnął na nich okiem, nie komentując. Przecież nie szczeknął nawet, by wychodzili. Ale wyszli.

Niewielu Emila lubiło. Nie o to chodziło. To było nieważne. Istotne było, że wielu się go bało. A strach trwa dłużej. Myśląc o tym, wyjął z kieszeni paczkę wypełnioną dwudziestoma małymi wrogami. Przez zapaleniem żółtego Camela powąchał niezapalony tytoń przykładając sobie papierową dutkę równolegle do włosów wąsa na górnej wadze. Papieros miał piękny, dziewiczy zapach. Wiedział, że jest mieszanką zapachu tureckiego i marokańskiego tytoniu. Lubił go, bo był to zapach jedynych marzeń w tym gównianym, szarym życiu. Przyznawał się

do nich sam przed sobą bardzo niechętnie. Ten zapach przywodził na myśl gorące i suche wnętrza jakiś zadymionych tureckich knajp portowych, egzotycznie pachnących przygodą, orientalną urodą pięknych kobiet i nieprzebytymi przestrzeniami amerykańskich równin. Uwielbiał swoje wizje, które zawsze miewał właśnie wtedy, gdy z zamkniętymi oczami sycił się zapachem nietkniętego jeszcze ogniem tytoniu, pocierając papierosem o swój czarny wąs. Może gdzieś tam daleko, nie byłby tym, kim jest teraz? Kto wie? – dumał zamyślony.

Kiedy wreszcie zapalił, wizje i amerykańsko-tureckie marzenia natychmiast prysły. Niczym pociągający tytoniowy zapach z zapalonego właśnie cichego mordercy.

– Muszę rzucić. Mam dość – mruknął niby do siebie, a niby do tych, co razem z nim dzielili podłą pogodę.

W chwili, kiedy zapalniczka rozbłysła płomieniem oświetlając na moment w porannych ciemnościach zmęczoną życiem twarz, wydał się kilka lat starszy niż faktycznie był. Nie był przecież aż tak stary – ledwie dobijał pięćdziesiątki.

– Paskudny nałóg – odezwał się jeden z posterunkowych. – Emil jednak nie odpowiedział. Nie spojrzał nawet na chłopaka. Zaciągnął się tylko dymem i omiótł bystrym wzrokiem plac.

Od lat nie zmieniło się nic. Równy prostokąt rozciągał się na sto kilkadziesiąt metrów długości i szerokość około pięćdziesięciu. Z jednej z krótszych stron, ozdabiał go postsocjalistyczny, siermiężny, miejski szalet. Na szczęście nie spełniał postawionego kiedyś zadania, będąc teraz – może tymczasowo, a na pewno tajnie miejscem nielegalnych spotkań dla bezdomnych. Niby wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie robił nic. Bo i po co? Aż do dziś.

Nagle policjant zakaszlał i znów splunął tak soczyście, jak chory na oddziale dla gruźlików. Na skrytej w ciemnościach twarzy stojącego obok posterunkowego, pojawił się grymas obrzydzenia pomieszanego z litością.

Wstępnie zabezpieczył już wszystko. To znaczy, zrobili to za niego posterunkowi, których wezwał. Ogrodzili wejście do szaletu taśmami i teraz czekali razem z nim w nieprzemakalnych płaszczach na nie wiadomo co, które miało dla nich nadejść, nie wiadomo skąd. Niczego nie powiedział.

– Informacji udziela się tylko w razie konieczności – odburknął zagajony. Tylko jeden z posterunkowych wiedział, co w trawie piszczy. Nie zdawał sobie oczywiście do końca sprawy, co ich teraz czeka, ale wiedział przynajmniej, dlaczego tu są. Stał tylko w milczeniu pouczony wcześniej przez Emila fachowo, prosto i bez ceregieli:

– Spróbuj coś komuś powiedzieć, zanim nie pozwolę, to będziesz do usranej emerytury glancował krawężniki. Jasne?

– Jak słońce, panie komisarzu.

– Jak słonce – powtórzył z ironią, po czym dodał: – Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Papieros z każdym następnym pociągnięciem dopalał się swego niechybnego końca, kiedy nagle względną ciszę nocy przerwał dźwięk silnika nadjeżdżającego samochodu. Po chwili po oślizłej od mżawki kostce brukowej wtoczyła się na plac czarna Lancia Kappa z niebieskim, przyczepianym na magnes do dachu kogutem. Wóz zatrzymał się i natychmiast z wnętrza wysiadło dwóch cywili. Płaszcze, garniturki, krawaty, białe koszule i jedwabne szaliki. Posterunkowi natychmiast się wyprostowali.

– Przykro mi, że mamy taką porę – rzucił do wysiadających nieco przepraszającym tonem.

– Nie wkurwiaj mnie bardziej! – usłyszał w odpowiedzi... – I niech cię litościwy Pan ma w swojej opiece, jeśli nie będzie to sprawa warta tej pory. Rozumiesz? Przysięgam, że pożałujesz tego do samej emerytury, jeśli ta sprawa nie była warta obudzenia nas. Będziesz stał na skrzyżowaniach...

Szef Emila – Boss, nazywany był tak wcale nie z racji zajmowanego stanowiska. Tu zdecydował tak zwany zbieg okoliczności. Komendant nosił nazwisko Bossakowski. Był dowódcą Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu w stopniu inspektora, co oznaczało też, że jest bezpośrednim przełożonym Emila. Lipski natomiast był prokuratorem. Wzywano go tam, gdzie działo się coś właśnie takiego jak dziś. Obaj, oprócz tego, że byli spowici pajęczyną powiązań służbowych, byli także rdzeniem własnej kliki towarzyskiej. Lipski i Boss, znali się bowiem prywatnie. Znały się prywatnie ich żony i często spotykali się poza pracą. Choć czasem Emila to zastanawiało, nie chciał wtykać nosa między drzwi. Wiedział, że jeśli go przytrzasną nie będzie miał, co do garnka włożyć. A nie lubił jak jucha z nosa leci. Tym bardziej, że był już listopad. W czerwcu miał zamiar przejść na emeryturę. Nie zależało mu, prawdę mówiąc, na wiedzy o tym, co jego szef pije na ognisku ze swoim kumplem prokuratorem.

– Mów – usłyszał od Bossa po chwili, zamiast powitania choćby przez podanie ręki.

– Na pewno mamy dwa trupy.

– Uhm. – Lipski pokiwał głową z zainteresowaniem i jednocześnie chyba bardziej udawaną niż szczerą, lecz bądź co bądź – troską w spojrzeniu. – Mów dalej – zachęcił policjanta gestem ręki, który Emilowi przywiódł na myśl sygnalizowanie, że ktoś ma nierówno pod sufitem.

– To bezdomni – odparł – zbierają się czasem tutaj. Niezbyt często, bo w sumie nie ma po co, skoro dworzec mają bliżej. Tam jest cieplej i zawsze mogą coś wyżebrać – wyliczał pragmatycznie.

– Gówno mnie obchodzą bezdomni, mów co z nimi! – zniecierpliwił się Boss.

– No właśnie. – Lipski natychmiast zawtórował Bossowi jak echo.

– Więc bez sensu, żeby tutaj mieli ciągle przychodzić – kontynuował niezrażony ich odzywkami policjant.

– Jasne, jasne – mruknęli obaj.

Widać było, że Lipski dopiero powoli się budzi z wciąż zalegającego pod czaszką snu. Telefon od komendanta z pewnością wyrwał prokuratora z jego najlepszej fazy.

Emil spojrzał na tarczę swojego Citizena. Była czwarta pięćdziesiąt pięć. Pewnie jeszcze czuje zapach śpiącej z nim kobiety – pomyślał. Coraz częściej doskwierała przepracowanemu policjantowi samotność. A nie zawsze tak było.

– Zobaczymy to – wreszcie Boss rzeczowo dał głos. – Pokaż nam – rzekł, a słowa te zabrzmiały pośrednio między rozkazem a prośbą.

– Mówiłeś, że zapili się na śmierć? – Lipski nagle zwrócił się do komendanta, ignorując Emila zupełnie. Komendant, zaskoczony zupełnie, nie zdążył nawet odpowiedzieć nim Lipski usłyszał.

– No, bo rzeczywiście pili... – mruknął cicho Emil.

– Ja pierdolę! Ale gówno! Mówcie, bo nie wiem o co chodzi! Po cholerę wzywacie mnie w środku nocy – histeryzował prokurator – do jakiś zasrańców, co zachlewają się na śmierć!? Nie można tego, kurwa, było załatwić w jakiś bardziej cywilizowany sposób? Nie mogliście, na przykład znaleźć ich o siódmej, zamiast o trzeciej w nocy!?

Jeśli Emil mógłby to oczywiście powiedziałby temu dupkowi, że nie robią na nim najmniejszego wrażenia znaki interpunkcyjne, których używa oraz, że ma bardzo, bardzo głęboko gdzieś jego krzyki. Eryk Lipski był prokuratorem. Prokurator zaś jest jak dupa od srania, aby tu, właśnie w takiej chwili, przyjechać. Emil nie przejmował się też wiedząc, że Lipskiego można bardzo szybko scharakteryzować jednym zdaniem. Był cholernie cholerycznym cholerykiem. Na dodatek, po prawie dwudziestu latach służby, cyrki prokuratora nie miały dla Emila już żadnego znaczenia. Równocześnie, nie miał zielonego pojęcia, jak taki ktoś mógł zostać prokuratorem. Był przecież niewątpliwie najbardziej niecierpliwym prawnikiem jakiego znał. Tylko doświadczony, psi nos podpowiadał, że Lipski nigdy nie był sam. Ktoś, kto wyżej pociągał sznurki maczał w jego karierze swoje brudne, a przy tym zapewne tłuściutkie paluszki. Emil widział, kto jest wyżej, ale to nie była już jego sprawa. Niewzruszony przedstawieniem po prostu robił swoje. Nabrał powietrza w płuca i na głębokim wydechu wyłuszczał, co wie:

– Po pierwsze, zauważyliśmy, że w ścianie jest wybite przejście do schronu.

– Do jakiego schronu? – Lipski zniecierpliwił się znów, po czym dodał zdziwiony: – O czym on mówi? – Spojrzał przy tym na komendanta tak, że jego twarz wyglądała jakby nagle dotarło do jego głowy, że Ziemia jest okrągła i krąży wokół słońca.

Co za debil – Emil niemal nie potrafił się powstrzymać od wypowiedzenia namolnej myśli. Miał wielką ochotę uderzyć prokuratora otwartą dłonią w twarz tak, aby ten natychmiast się uspokoił i otrzeźwiony ciosem wreszcie zaczął słuchać. Niestety, nie mógł tego zrobić, choć kusiło niemiłosiernie. Milczał więc tylko o ułamek sekundy za długo. Wykorzystując to, jego szef zadał pytanie Lipskiemu:

– To nie wiesz?

– Nie wiesz? – przedrzeźniał go. – Co nie wiem!? No nie wiem! Nie wiem. – Lipski rozwścieczony niemal wrzeszczał: – Nic, kurwa, o żadnym gównianym schronie nie wiem! Jest czwarta nad ranem! Mówicie, do cholery! Jakbym wiedział, pewnie był się głupkowato nie pytał? Nie?

Teraz Emil miał ochotę szczęknąć – jest piąta za pięć – ale przygryzł tylko wargi. Lipski jak widać, wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że ta noc już się skończyła i zaczął się nowy dzień. Nie potrafił uspokoić się i nadal był rozdrażniony otaczającym go nieprzyjaznym światem.

Emil patrzył na Lipskiego z politowaniem. Czuł obrzydzenie do tego nowobogackiego dupka. Chwilę później, głównie po to, by zneutralizować wywołane zachowaniem prokuratora mdłości odezwał się:

– Nawet nie wie pan, ile w tym jest racji.

Lipski zastygł na chwilę w bezruchu. Dotąd roztrzęsiony jak pierwszokomunijna galaretka, teraz, niczym kot przygwoździł Emila wzrokiem. Nie wiedział jak zareagować. Mruknął tylko bezmyślnie zaskoczony:

– Co?

– Pod placem jest schron – Emil odparł rzeczowo. Lipski otworzył usta ze zdziwienia. Zapominał już, że nie zrozumiał, o co Emilowi przed chwilą chodziło:

– Nigdy bym nie przypuszczał – szepnął.

– Bo młody jesteś jeszcze – wtrącił się komendant. Emil dodałby jeszcze – i głupi – gdyby mógł. Ale nie mógł. Komendant tymczasem nie przerywał wywodu. – I nie pamiętasz czasów zaraz po wojnie – zauważył rzeczowo, nie bez cienia satysfakcji w głosie, który jednak nie uszedł uwagi Lipskiego. Nie dał jednak po sobie tego poznać.

Istotnie, prokurator Lipski był mężczyzną, który nie mógł tych czasów pamiętać. Z rozmawiającej w ten listopadowy, ponury i dżdżysty poranek trójki mężczyzn, to on właśnie był najmłodszy. Nie mógł mieć więcej jak czterdzieści lat. Tym bardziej, że skroń, choć przyprószona już siwymi włosami nie zdradzała prawdziwego wieku. Wciąż był przystojny. Z pewnością wyglądał na młodszego, niż rzeczywiście był. Wielu mężczyznom przecież siwe włosy pojawiają się jeszcze grubo przed trzydziestką, choć mają się zupełnie dobrze. Emil przy nim, tylko kilka lat starszy ze swoją łysiną na czubku głowy przytomnie skrywaną pod policyjną czapką i Boss, siwy już jak dwudziestoletnia klacz, wyglądali jak chłopcy z trzeciej klasy liceum przy gimnazjaliście.

– Schron jest jeszcze niemiecki. – Emil ciągnął dalej. – Został wybudowany w czasach, kiedy tutaj – skinieniem głowy wskazał plac – był faszystowski Friedriechsplatz.

– Był przeciwlotniczy? – Lipski nagle i niespodziewanie zainteresował się przeznaczaniem schronu.

– Tak i jednocześnie przeciwgazowy.

– Ech… Ci faszyści byli wtedy tak samo dokładni jak teraz. Precyzyjni i na wszystko przygotowani – konkludował prokurator, kręcąc głową w podziwie dla germańskiej, porządnej natury.

– Chuja dokładni! – Komendant wtrącił się w pół zdania prokuratorowi. – Ten mój Merc, się ciągle pierdoli – rzucił zniesmaczony. Lipski z Emilem w spojrzeli na komendanta bez słów. Lipski, ignorując uwagę, skupił się na tym, dlaczego tu są.

– Dlaczego nie został zburzony po wojnie?

– Bo pewnie w PRL mieli chyba nadzieję, że się jeszcze przyda.

– Pierdolę taką nadzieję. Dobra, dawaj dalej – mruknął zachęcająco do Emila.

– Słucham? – Policjant faktycznie nie dosłyszał ostatniej, puszczonej niedbale uwagi swojego rozmówcy, co sprawiło wrażenie zirytowania.

– Nieważne. Mów, do ciężkiej cholery dlaczego tu jestem? Zamiast spać w łóżku usłanym bratkami i płatkami róż.

Szef Emila, inspektor Jan Bossakowki, uśmiechnął się słysząc frazę o kwiatkach. Pewnie mając na myśli siebie w owym kwietnym łożu z piękną żoną Lipskiego. Prokurator cieszył się nią, a jakże, bo była piękną kobietą. Adwokat, po rozwodzie i naprawdę dobrze się prezentujący. Jak na swój wiek oczywiście. Nie to co jego stara – myślał Boss. Myśl, po chwili uleciała tak nagle, jak się pojawiła. Z marzeń otrzeźwiły go krótkie cztery słowa Emila:

– W bunkrze jest trup.

– Trup? – Lipski zrobił zdziwioną minę. – Miały być przecież dwa?

– Są dwa.

– Nie rozumiem. O chuj chodzi? To jeden czy dwa? Mówiłeś, że w bunkrze jest trup. – Lipski natychmiast wypomniał Emilowi. – A ty też mówiłeś przez telefon, że są dwa – zwrócił się do Bossakowskiego. Ten zaś miał jeszcze odchodzący ślad marzeń o żonie Lipskiego w łóżku w postaci głupawego uśmieszku na ustach. Otrzeźwiony, w odpowiedzi kiwnął tylko głową, rzucając spojrzenie w stronę swojego podwładnego.

– Drugi jest w szalecie – Emil kontynuował. Po czym bez słowa, obejrzał się za siebie, spoglądając na zdewastowany sprayami przez nudzących się zapewne kiedyś małolatów szalet. Otworzył usta, po czym zamknął jakby natychmiast rezygnując z wyartykułowania jakiegoś zdania. Zamiast odpowiedzi zaprosił obu gestem ręki do samochodu.

– Chyba dosyć na razie gadania. Wejdziemy i dokończę – dodał.

– Świetna myśl! – natychmiast ochoczo zgodził się Lipski, zapewne mając nadzieję, że dzięki temu szybciej będzie mógł tę sprawę załatwić. Komendant, tylko potakująco kiwnął głową, zapomniawszy chwilowo całkiem o żonie kolegi.

Durnie, myślał Emil – ale niech im będzie. Otworzył boczne, przesuwne drzwi niebieskiego Volkswagena. Wewnątrz, na siedzeniach leżały długie latarki i przeciwdeszczowe płaszcze z napisami na plecach: Policja. Podał każdemu po jednym, a potem dołożył po latarce. Wreszcie wziął swój płaszcz, latarkę i rzekł:

– Więc idziemy.

– Co jeszcze wiesz? – Lipski nie dawał za wygraną, zachęcając Emila do mówienia, tym razem nieco bardziej pojednawczym tonem.

– W sumie niewiele – odparł. – Byłem tam tylko raz. Wszedłem na parę metrów. Wierzcie, to nie jest przyjemne. Zresztą, co można powiedzieć po takiej wizycie? Trzeba będzie tutaj całej ekipy, techników, fotografa, sekcji. Trzeba badania w laboratorium. Od wodociągów musimy wziąć dokładne plany tej nory.

– Po co? – zdziwił się prokurator.

– Zaraz pan zobaczy.

Nałożyli niespiesznie pomarańczowe płaszcze. Emil poczęstował Camelem komendanta, nie poczęstowawszy jednocześnie Lipskiego, który przecież nigdy nie palił, jak to gogusie mają w zwyczaju. Komendant nie odmówił. Odpalając papierosa, zbliżył się do Emila. Wtedy poczuł przebijający przez nikotynę zapach wypitego wczoraj alkoholu. Woń była przytłumiona, ale Boss czuł ją wyraźnie. Wszyscy w fabryce wiedzieli, że od tamtego nieszczęsnego dnia

Emil po służbie się upija. I powoli się stacza. Ma problem alkoholowy. Ale ani Boss, ani nikt inny nic głośno nie mówił. Fabryka ma swoje sprawa, a psia profesja niepisane zasady.

Wreszcie wszyscy trzej, kierując się w stronę ogrodzonego taśmami wejścia do schronu zatopili się na chwilę we własnych myślach. Emil, kończąc papierosa, pierwszy przerwał milczenie:

– Panowie, wdepnęliśmy naprawdę w niezłe gówno. Jeden z młodych był tam ze mną. On to odkrył, więc proponuję, żeby poszedł z nami.

– Dawaj go! – ucieszył się Lipski. – Przy okazji opierdolę go, czemu znalazł ich akurat w środku nocy. – Żarcik prokuratora rozweselił ich. Roześmiali się równocześnie wszyscy trzej.

Tymczasem pusty plac z chylącymi się na wietrze i postękujących drewnem bezlistnych gałęzi klonów i lip, za chwilę miał odkryć przed nimi swoją mroczną tajemnicę. Pękate i ciemne jak sam Szatan kształty cisowych krzewów, smutne i ogołocone z kolorowych kwiatów rabaty oraz puste ławeczki zupełnie do śmiechu nie pasowały. Paralitycznie poskręcane drzewa ruchami swoich konarów, przypominających ludzkie ramiona i palce, sprawiały raczej upiorne, niż zabawne wrażenie na tle oświetlonego księżycem nieba. Każdy, kto spojrzał na ten obraz w mig pojmował, że zdarzyło się tu coś niecodziennego. Pierwsi tego ranka ludzie, przechodzący przez plac spiesznym krokiem zapewne do pracy albo wracający z nocnej zmiany z zaciekawieniem zwalniali kroku. Powoli i nieśpiesznie z przepicia zaczynał budzić się kolejny, jesienny poniedziałek, wciąż mając jeszcze na powiekach ciepły sen.

3.

Wybudowany przed wojną budynek numer 14 przy ulicy Drzymały w Opolu rankiem tego dnia wciąż jeszcze spał w najlepsze kamiennym snem. Pierwotnie był zapewne młynem, magazynem, albo jakimś innym budynkiem o przemysłowym zastosowaniu. Dopiero po wojnie stał się kamienicą. Owszem, nieco osobliwą – nie zatracił bowiem swego industrialnego charakteru – lecz jednak kamienicą.

Teraz, przed wschodem słońca żadne z jego kilkudziesięciu okien nie rozświetlał jeszcze blask żarówek. Przed budynkiem, na wybrukowanej nawierzchni ulicy hulał za to wiatr. Zamiatał w tę i z powrotem suche liście. Jesienny, zimny – raz słaby a raz porywisty wicher. W chwilach, kiedy był najbardziej dotkliwy, liście tańczyły swój makabrycznie martwy taniec

na bezludnej ulicy niczym w iluzorycznych wizjach psychicznie chorego człowieka. Dom wariatów o czwartej nad ranem, kiedy tęsknimy za normalnością najbardziej.

Pokój na trzecim piętrze tego domu wypełniała hipnotyczna cisza. Kobieta spała swoim najlepszym, porannym snem. Śniła. Przed zaśnięciem wypiła kubek gorącego mleka, by specjalnie wywołać sny. Uwielbiała je. Były tym, co pozwalało oderwać się od monotonnej i czasem, co tu dużo kryć – nudnej prozy codzienności. Życie dziennikarki, dla kogoś z zewnątrz nie mogło być nudne. Jednak w jej przypadku, tak właśnie było. Nawet, jeśli codziennie ryzykujesz życiem, po pewnym czasie się do tego przyzwyczajasz. Potem nudzi to tak samo, jak wszystko inne.

Nagle dzwonek leżącego obok łóżka Ericssona bezlitośnie zabrzęczał, wyrywając z objęć Morfeusza. Spojrzała senna na wyświetlacz.

– No jasne, a któż by inny! – mruknęła zaspana, naciskając guziczek z zieloną słuchawką. Była wściekła, ale i bezsilna. Drażniło ją to jeszcze bardziej. – Gosia, słucham?

– To ja – usłyszała w słuchawce znajomy głos. – Przepraszam, że cię budzę, ale też już od pół godziny nie śpię.

– Chryste Panie, naprawdę musiałeś mnie obudzić? – zapytała z wyrzutem, który rozlał się niczym wody całego Pacyfiku. Miała aksamitny głos, niezależnie od tego o czym mówiła, musiał sprawiać nieopisaną przyjemność. Nawet jeśli przebijał z niego ten charakterystyczny ton nieopisanej złości.

– Przepraszam, ale niestety tak. Nie jesteś sama?

– A co to ma do rzeczy? Co to za pytanie? W ogóle co cię to...

– Przepraszam, wiem. Nie powinienem pytać – uciął, nim zdarzyła dokończyć swą myśl.

– Nie powinieneś – przyznała tylko.

– Przepraszam, tak jakoś wyszło.

– Tak jakoś wyszło, wyszło... Czemu mnie obudziłeś?

– Musiałem.

– Nieprawda, nie musiałeś – zaprotestowała. – Chciałeś.

– Daj już spokój, przecież i tak nie śpisz już.

– Zawsze to robisz. – Gosia, zupełnie tak samo Lipski, wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że brutalnie przerwano jej sen. – Zawsze to robisz – powtórzyła z naciskiem. – Zawsze, odkąd cię znam.

– To chyba mój urok?

– Urok... Niech cię diabli z takim urokiem. I która w ogóle jest godzina?

Jednym z sekretów dźwięku jej głosu nie była bliżej nieokreślona częstotliwość czy pełnia emocji, jakie uważny słuchacz od razu bezbłędnie wychwytywał. To wszystko razem łączyło się w jednolitą, nierozerwalną całość. I dzięki temu dostała tę pracę. A kobiecie bez koneksji, bez doświadczenia w zawodzie, po czterdziestce trudno zaczynać nowe zawodowe życie. Jej się mimo tego udało.

Zadając pytanie, spojrzała na zegar wiszący na ścianie przy oknie i nim znów usłyszała głos swojego bezlitosnego rozmówcy, już wszystko wiedziała. Mała wskazówka pokazywała czwartą. Duża zatrzymała się na cyfrze dwa.

Mimo swojego wieku, szybko wspinała się po szczeblach kariery. Pewnie dlatego, że jako kobieta samotna poświęcała się pracy bez reszty. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że rozgłośnia, w której podjęła pracę – jak mówiła – postanawiając zmienić swoje życie po rozwodzie, była w powijakach. Wszyscy w radio O'Key zaczynali razem. Kilka osób i kilka obskurnych pokoików wyłożonych szarą wykładziną. I to było całe ich radio.

Choć pracowała także w studio, przede wszystkim zajmowała się zbieraniem informacji i pracą w terenie. Szło jej to coraz lepiej. Mieli dużą słuchalność, reklamodawców było coraz więcej. Często to oni, ich radio, mieli pierwsi najważniejsze lokalne informacje. Wszyscy w zespole byli młodzi i pracowali z ochotą. Ona, już po czterdziestce nieco odstawała od reszty, ale tylko wyglądem. Duchem była młoda, a człowiek podobno tyle ma tyle lat, na ile się czuje.

Uwielbiała to, co robiła. Radio było wielką pasją. Odkąd rozstała się z mężem, był to sens jej życia, co podkreślała na każdym kroku. Rozstała się z nim, zrozumiawszy, że brak jej tego, czego każdy z nas szuka. Brak było miłości. Związek przypominał sto lat samotności Márqueza. A od samotności zawsze uciekała. Mimo, że ta deptała po piętach nieubłagana, wytrwała i zajadła. Pewnego dnia postanowiła rozpocząć życie od nowa. I udało się.

– Jest dziesięć po czwartej – usłyszała w słuchawce.

– No widzę właśnie – odparła z wyraźną irytacją w głosie. Po czym dodała niemal w tej samej chwili. – Nie drażnij mnie bardziej.

– Przecież zapytałaś – odparł mężczyzna zgodnie z prawdą.

Już się dobudziła. Choć dla niej była to jeszcze głęboka noc. Właściwie był to środek nocy, a nic nie wyprowadzało z równowagi tak skutecznie, jak telefon o tak skandalicznej porze. Tym bardziej, że zwykle niósł ze sobą poważniejsze perturbacje niż tylko koniec snu.

Nie ulegało wątpliwości, że dziś wstała lewą nogą. Mimo to, nadal tliła się w niej jeszcze resztka nieśmiałej nadziei, że będzie mogła wrócić do łóżka. Nie zapaliła zatem światła. Pokój pogrążony w ciemności oświetlał tylko blask księżyca zza dużego okna.

– Słuchaj, musisz gdzieś jechać – usłyszała.

Więc jednak światło będzie trzeba zapalić – pomyślała i reszta nadziei na sen zgasła.

– Mniemam, że masz coś naprawdę ważnego. Lepiej dla ciebie, aby tak było. W przeciwnym razie zapiszesz się do kroniki policyjnej jako ofiara.

– Wierz mi, zaraz będziesz parzyć kawę i nie wypijesz jej nawet do końca – enigmatycznie i zachęcająco rzekł naczelny. Zaskoczył ją trochę. Tylko trochę, bo choć wciąż zła, zdawała sobie przecież sprawę, że musiał być naprawdę ważny powód, by ją obudzić. Pracowali ze sobą na tyle długo, aby dobrze się poznać. Wstała więc i podeszła z telefonem przy uchu do parapetu. Spojrzała przez okno na ulicę skąpaną w żółtawym świetle latarń. Oceniała w myślach, stojąc nago, jak bardzo zimno i nieprzyjemnie musi być za szybą. Zawsze spała nago, odkąd skończyła szesnaście lat. Nie wyobrażała sobie snu inaczej. Piżamy są dobre do szpitali, twierdziła. I nienawidziła ich szczerze. Piżam i szpitali, rzecz jasna.

Stojąc w mroku bez ubrania wyglądała naprawdę bardzo atrakcyjnie, mimo czwartego krzyżyka na karku. Jasne włosy poskręcane w niesforne loczki opadały na wąskie ramiona, długą i wąską szyję, zakrywając symetryczne obojczyki. Smukła sylwetka, miękkimi krawędziami wyraźnie rysowała się na jasnym tle okna ciemną plamą postaci na tle nocy. Regularne rysy twarzy zdradzały nawet teraz, w ciemnościach, że jest obdarzona nieprzeciętną urodą. Nagle na lekko oliwkowych udach poczuła przyjemne ciepło skrytego pod oknem kaloryfera i muśnięcie kociego ogona.

– Co stało się tak wielkiego, że trzeba budzić zwykłą dziennikarkę przed czwartą w poniedziałek? – zapytała pojednawczym tonem, godząc się już ostatecznie ze swoim losem rozpoczęcia pracowitego dnia.

– Psy... A dla ścisłości obudziłem cię po czwartej, a nie przed. – Pierwsze słowo podziałało na jej wyobraźnię. Dalsze, tylko rozzłościły. Zignorowała je.

– No... mów.

– Niby zwykłe, w mundurach ale... Jest ich aż kilka radiowozów.

– Gdzie?

– Na Placu Pedała. Tam gdzie jest szalet, nadążasz?

– Nie drażnij mnie bardziej – zirytowana syknęła ostrzegawczo. Jasne, że nadążała. Obudziła się przecież. Opole znała jak własną kieszeń. Oprócz tego, że Stwórca obdarzył ją nieprze-

ciętną urodą – co za młodu skrzętnie ukrywała, a teraz starała się eksponować – była także niezwykle inteligentna, zaradna i samodzielna. Pewnie dlatego też była teraz samotna.

– Dlaczego się tam zjechali?

– Czegoś szukają.

– Myślę, że nie szukają niczego. W odróżnieniu od ciebie, znają na to lepsze pory. Coś się tam musiało wydarzyć. Ciekawe, co?

– No właśnie nie wiem. Ty się dowiesz.

– I tylko tyle?

– Mało?

– Tak.

– Jak tam pojedziesz, pewnie będzie więcej.

– W porządku. Niech ci będzie. Za czterdzieści minut będę tam. Ale powiedz, czy to naprawdę jest aż takie ważne? Psy na Placu Pedała, w nocy? Nie można było poczekać z tym do ósmej?

– Nie wiem dokładnie, ale to będzie jakaś grubsza draka.

– Więc nie powiedziałeś wszystkiego. Skąd wiesz?

– Nic pewnego. Wiem, bo dzwoniła do mnie jakaś kobieta. Też mnie obudziła. Mówiła, że szła z nocnej zmiany i widziała tam trzy radiowozy. Szalet jest podobno ogrodzony taśmą.

– Taśmą?

– Tak – odparł. Zaciekawił ją. – To już coś – pomyślała. Policja stosuje taśmę zawsze, kiedy dzieje się coś poważnego. Napad z bronią, wypadek śmiertelny, samobójstwo albo morderstwo.

– To nie wszystko.

– Tak?

– Ta kobieta, podobno, widziała tam też czarną Lancię.

– Uhm – mruknęła z zadowoleniem.

A zatem przyjechał prokurator. To potwierdza wersję z trupami. To już coś. Szybko przeanalizowała w myślach sytuację i podjęła decyzję.

– Dzięki, może upiecze ci się tym razem. Jadę od razu. Zobaczę, co się święci.

– Grzeczna dziewczynka. Dzięki. Cześć.

– Grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne są wyspane. Wolałabym się wyspać, niż być w niebie, wiesz? W odpowiedzi usłyszała jednak tylko sygnał zakończonej rozmowy.

– Dupek.

Wieści od szefa i też redakcyjnego kolegi ostatecznie ją zainteresowały. W końcu uwielbiała swoją pracę. Jednak drugą w hierarchii największych przyjemności, którym oddawała się ochoczo był sen. Niestety nie zawsze można było te pasje ze sobą pogodzić. Na pewno nie dziś.

Ubrała błękitną, koronkową bieliznę, rajstopy i podreptała do kuchni. Wsypała łyżeczkę zmielonej, mocnej jak amfetamina kawy do swojego ulubionego kubka z Misiem Puchatkiem i Tygryskiem. Kilka kawałków suchej karmy włożyła do kociej miseczki z nierdzewnej stali i włączyła chromowany, elektryczny czajnik. Usiadła przy stole. Czekając na zagotowanie się wody, przypomniała sobie swój dzisiejszy sen. Pamiętała, że przyśnił się jej smok. Nie wiedziała dokładnie, dlaczego, ale nazywał się Julian. Dziwne imię jak na smoka. Smok był klawym smokiem. Nie z tych złych smoków. Sen był przyjemny – bajeczny, kolorowy i wesoły.

– Jakbym zarzucała LSD – pomyślała, patrząc na kota. To nieco rozweseliło kobietę. Zalała kawowy proszek. Stanęła przed lustrem, zapominając o Julianie. Myśli zaprzątało teraz to, czego dowie się na Placu Pedała. Była to obietnica dobrego materiału na poranny news.

Chwilę potem przekręciła klucz w drzwiach. Zbiegła po schodach. W kubku została niemal połowa czarnego, gorzkiego płynu bezczelnie roznoszącego swój aromat po obszernym mieszkaniu na ostatnim piętrze.

Wsiadając do uterenowionego na potrzeby wielkiego miasta samochodu włożyła do odtwarzacza płytę z muzyką. Z głośników popłynęły rytmy remiksu *4 O'Clock In The Morning*.

– Nomen omen – mruknęła i mocniej wcisnęła gaz. Ten dzień, choć nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy, miał wiele zmienić. Bardzo dużo. Rozpoczynała się nowa era w jej życiu. Era wodnika.

4.

Przed wejściem do szaletu stał młody posterunkowy. Emil zrobił szybki, zdecydowany i jednoznaczny ruch dłonią, przywołując chłopaka. W odróżnieniu od posterunkowego sam był już niemal pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Niepozornym, licho zbudowanym i z wyglądu niemal zabiedzonym. Chudy, średniego wzrostu i gdyby nie szybko odrastający szczeciniasty zarost, jego twarz byłaby blada jak śnieg. Sprawiał wrażenie faceta przypominającego bardziej kogoś, kto pcha wózek z zakupami za swoją maciorowatą żoną w hipermarkecie, niż niebezpiecznego i bezwzględnego glinę, którym naprawdę był. To były jednak tylko niebezpieczne pozory. Jak na swój wiek był niezwykle sprawnym fizycznie mężczyzną. Rzekoma cherlawość była skutkiem braku kilku kilogramów. Zabrakło ich między kośćmi, skórą i twardymi

jak tytan mięśniami. W szkółce policyjnej był jednym z najlepszych rekrutów. Dawało to dodatkowy zadzior. Oczywiście nie był nigdy najlepszy. Nikt nie zauważał jego wyników, ale zawsze był w ścisłej czołówce. W parze z doskonałą, choć skrywaną kondycją fizyczną szła ostra jak samurajski miecz inteligencja. Oczywiście przyznać trzeba również zupełnie szczerze, że słabością Emila były papierosy. Niestety, odkąd poddał się jej, a zrobił to bez reszty, stan jego kondycji fizycznej odstawał od wcześniejszych wyników. Jasne też, że z każdym rokiem nie był młodszy. To żółte Camele miały największy wpływ na to, że czuł się coraz słabszy.

Wskazał Lipskiemu i Bossowi umundurowanego policjanta. Był to ten sam, który odkrył znalezisko.

– On nas poprowadzi – rzekł, po czym przedstawił posterunkowego. – Maciej Wilk.

– W porządku – Lipski, witam! – Ty to znalazłeś?

– Tak.

– Zatem, posterunkowy Wilk, macie u mnie przerąbane.

Wszyscy się uśmiechnęli. Nie rozumiejący uśmiechów posterunkowy też, po czym regulaminowo przywitał się z komendantem. Ostrożnie weszli do środka szaletu po śliskich od deszczu schodach. Pilśniowe drzwi zwisały wyłamane. Zapewne kopniakiem, nad czym Emil nawet się nie zastanowił, natychmiast przechodząc do rzeczy.

– Na pewno został odcisk buta.

– Racja – dodał Bossakowski.

– Z pewnością – odrzekł Lipski zdziwiony. Nie wpadłby na to nigdy, Emilowi zaś przyszło to z taką łatwością, że sam tego nie zauważył.

Tymczasem weszli do środka. Zapalili latarki. Blask krzyżujących się ze sobą snopów świateł latarek obmacujących ściany oświetlił częściowo ciemne, zdewastowane wnętrze.

– Mów! – Lipski zachęcił swoim zwyczajem posterunkowego, którego nazwiska już nie pamiętał.

– No… – Ten zaczął niepewnie. – Zaczepił mnie jeden żul na patrolu pod dworcem i powiedział, że w szalecie na Placu Pedała leżą jego sztywni kumple i że ktoś ich załatwił.

– Załatwił? – zdziwił się Lipski.

– Tak powiedział. No to poszłem sprawdzić. – Lipski słuchał. Nawet nie bardzo poraził prokuratora błąd językowy. Bardziej interesował się, o czym mówi, niż jak to robi.

– I rzeczywiście był tu ten z wersalki – wtrącił się Emil.

– Z jakiej wersalki? – zdziwił się Lipski.

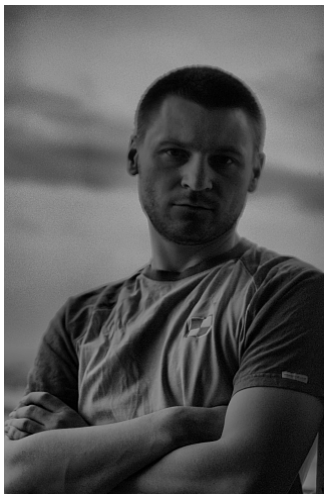

Aleksander Sowa (ur. 19 lutego 1979 w Paczkowie) – pisarz, autor powieści, poradników, wierszy i książek technicznych. Zadebiutował w roku 2006 powieścią pt. „**Umrzeć w deszczu**". W roku 2007 ukazała się druga powieść tego autora pt. „**Jeszcze jeden dzień w raju**", nagrodzona tytułem „Najlepszej książki na lato 2010 portalu Granice.pl" w głosowaniu internautów i jury. „**Era Wodnika**" jest trzecią powieścią tego autora. Aleksander Sowa prowadzi Literacką Stronę Autorską (www.wydawca.net) oraz Literacki Blog Autorski (http://wydawca.blogspot.com).

Starzejący się policjant bada brutalne zabójstwa. Chory psychicznie morderca przesyła Policji i mediom tajemnicze nagrania.Staje się jasne, że ofiary nie są przypadkowe. Policja podejmuje współpracę z lokalnymi mediami. Pojawiają się wątpliwości, czy aby na pewno morderca jest niepoczytalny? Może jego opowieść zdarzyła się jednak naprawdę?

Makabryczne morderstwa są związane ze zbrodniami aparatu bezpieczeństwa z czasów PRL. Rodzi się pytanie, kto we współczesnym Opolu za nimi stoi?

Patronat medialny

TrendyLady.pl
Portal dla modnych kobiet

Kuźnia Literacka
www.kuznia.art.pl

granice.pl
portal literacki

Nasza-Czytelnia.pl
Bo to my ją tworzymy

nakanapie.pl

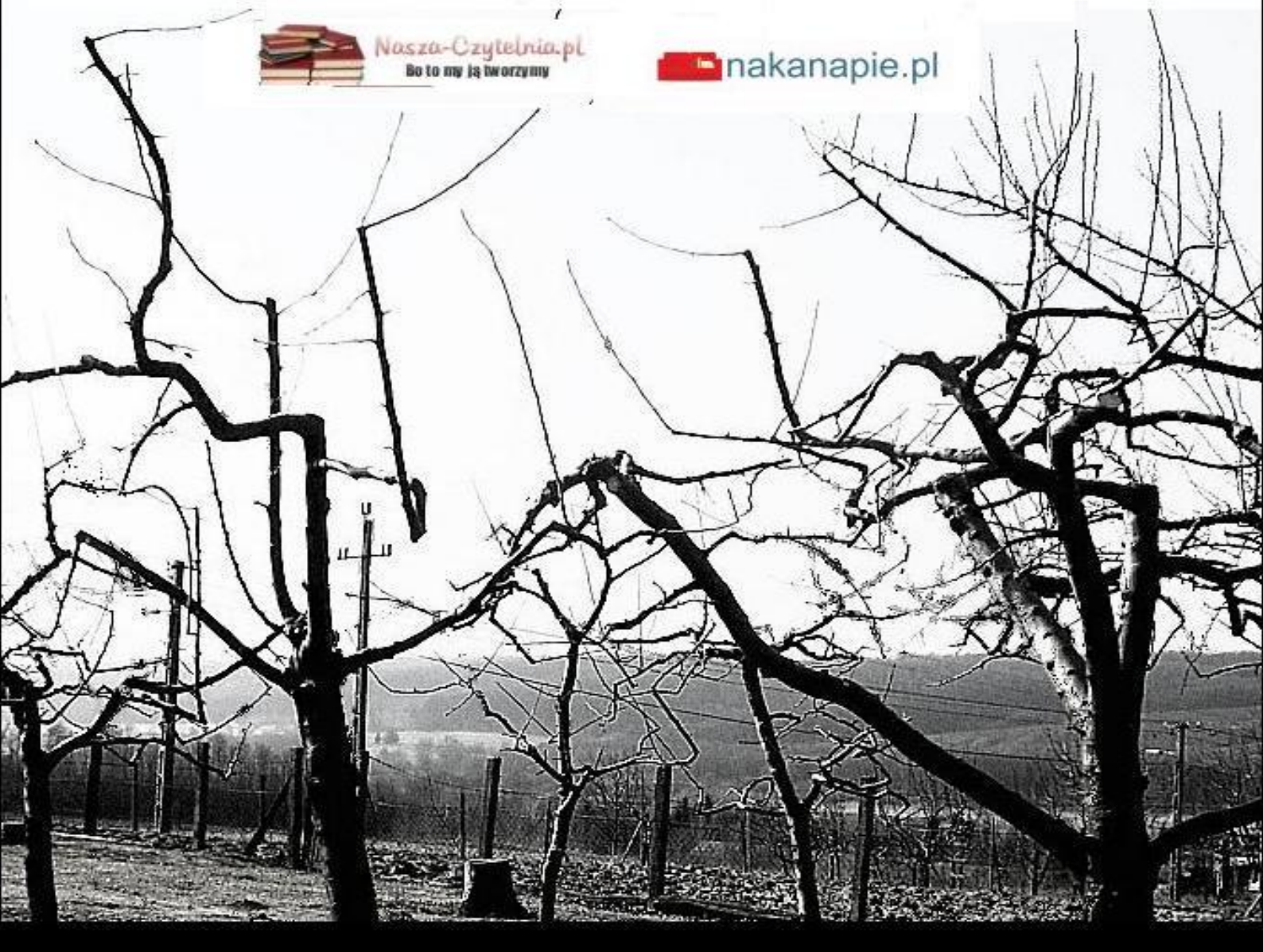

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji kliknij tutaj.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji. Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z regulaminem serwisu.

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym Księgarnia Internetowa E-ksiazka24.pl.